

# Wakacje z mułłami – cz. 6

12 października 2007

U wejścia do mauzoleum oddaliśmy buty do przechowania i weszliśmy do środka. Wnętrze jest chłodne i dosyć surowe, ale wszystkie sale mają doskonałe proporcje, dzięki którym to małe mauzoleum jest prawdziwą perełką architektury. Marmurowe posadzki wyłożone są wspaniałymi dywanami, ale dla naszych zachodnich nosów te wnętrza śmierdzą stęchlizną i nieświeżymi dywanami. Jakże przyjemnie było znów znaleźć się na powietrzu.

Na pięterku nad arkadami dziedzińca jest niewielkie muzeum, pełne iluminowanych Koranów, cyzelowanych lamp, dzbanów, mis i innych interesujących staroci, niestety opisanych tylko po persku. Z muzeum można wejść na dach kompleksu i na minarety. Nie bardzo wiedzieliśmy którędy, ale zaraz zjawił się ktoś, kto na migi wskazał nam drogę i otworzył potężne, żelazne drzwi wiodące na zewnątrz. Znaleźliśmy się na dachu muzeum, wśród podobnych do odwróconych spodków małych kopulek, pokrywających wszystkie pomieszczenia na dole. Stamtąd po stromych schodkach wspięliśmy się na dach samego mauzoleum, do podnóża głównej kopuły. Widok stamtąd był wspaniały, na parterowe, zbudowane z gliny i przykryte kopułami domki miasteczka, dziedzińce mauzoleum i ośnieżone góry. Krzysiek wcisnął się w ciasną i stromą spiralę schodków we wnętrzu jednego z cienkich jak ołówek minaretów i po chwili był już na galerijce, podziwiając okolicę i pstrykając zdjęcia. Połaziliśmy jeszcze trochę po dachach i zeszliśmy z powrotem.

Kilka kilometrów od Mahan leży ogród i pałac zwany Bagh-e-Shahzadeh (Ogród Księżniczki). Tak naprawdę to został wybudowany w XIX w dla jednego z rozlicznych książąt kadzarskich. Za rogatekami miasteczka, na łagodnym zboczu, leży przepiękna, zielona oaza, otoczona wysokim murem z glinianych, niewypalonych cegieł. Wyszliśmy z taksówki na piaszczystym placu, kupiliśmy bilety w dużej, piętrowej bramie ozdobionej

kolumienkami i kolorowymi kafelkami i weszliśmy do środka. Znaleźliśmy się na najniższym poziomie ogrodu. Od bramy dwa szerokie chodniki, wybrukowane wapiennymi płytami, przedzielone spływającą kaskadami wodą, wspinały się szeregiem tarasów ku pawilonowi na szczycie zbocza. Po bokach, między chodnikami i murem rozciągały się prostokątne kwatery, nawadniane z kaskady, obsadzone drzewami owocowymi i krzewami różnymi. W basenach między chodnikami dwa rzędy fontann tryskały wodą na 5 metrów w górę. Cały ten system nawadniający zasilany jest z górskiego strumienia na granicy śniegów i działa bez użycia żadnych mechanicznych pomp. Trudno wyobrazić sobie większy kontrast niż między tą zieloną, chłodną i szumiącą wodą oazą, a brązowym, nagim pustkowiem dookoła. Sam pałac, jednopiętrowy, pomalowany na biało budynek, trochę zaniedbany, nie jest dostępny do zwiedzania. Za nim jest jeszcze cienisty park wysadzony ogromnymi, dwustuletnimi drzewami. W pałacu był przez jakiś czas hotel dla turystów, ale parę lat temu go zamknięto, za to na rozległym tarasie jest herbaciarnia. Zdjęliśmy buty, rozsiedliśmy się na poduszkach na jednej z platform, zamówiliśmy herbatę i pogryzając pestki z dyni wygrzewaliśmy się do słońca.

Pogadaliśmy przez chwilę z przyjazną rodziną irańską na sąsiedniej platformie, odpowiadając na sakramentalne pytania skąd jesteśmy i jak nam się podoba Iran. Po wyjściu okazało się, że nie ma żadnej taksówki która zawiozła by nas z powrotem do miasteczka. Pokręciliśmy się po parkingu przez pół godziny, zerkając z nadzieją na zajeżdżające i odjeżdżające auta, aż wreszcie jakiś młodziak w brązowym Paykanie zgodził się nas podwieźć. W miasteczku zaraz podbiegł do nas starszy jegomość i po angielsku zaoferował że zawiezie nas gdzie tylko chcemy. Doładowaliśmy się do jego pasażerów, trzech kobiet z dziećmi i ... pojechaliśmy z powrotem do ogrodów. Dopiero po wysadzeniu reszty zawróciliśmy do Kerman.

Nasz kierowca okazał się wyjątkowym ekscentrykiem. Po angielsku mówił wyśmienicie, choć twierdził, że sam się nauczył. Kontrastowało to i z jego zaniedbanym wyglądem i z

rozlatującym się autem. Wydawało się, że słowa go rozsadzają, bo niczym karabin maszynowy, bez przerwy i bez ustanku zadawał nam pytania z dziedziny religii, etyki i filozofii, przerywając w połowie odpowiedzi i przerzucając się gorączkowo na inny temat, żeby za minutę znów powrócić do poprzedniego pytania:

- Co to znaczy być religijnym?
- Jak być dobrym człowiekiem?
- Co to znaczy dobro?
- Czy jesteście bogaci?
- Co znaczy potęga?
- Czy pieniądze przynoszą człowiekowi szczęście?

I tak w kółko i w kółko....

Wkładał w to tyle pasji i zaangażowania, oczekując odpowiedzi a równocześnie nie pozwalając odpowiedzieć sobie na to o co pytał. Wkrótce stało się to niezwykle męczące, tak że głowa zaczęła mi pękać, miałam wrażenie, że zwariuję razem z nim. Co parę minut powracał do tych samych pytań, a ja modliłam się aby ta nasza podróż jak najszybciej się skończyła, bo na dodatek bardzo śmierdział. Na szczęście 40 km to nie tak daleko i w końcu jakoś dojechaliśmy.

Dzień się na tym nie skończył. Wieczorem, kiedy zeszliśmy do holu przywitała nas Angielka z ambasady i opowiedziała o swoich przygodach. Okazało się że po zwiedzeniu miasta została zaproszona do domu przewodnika, gdzie z jego rodzina zjadła uroczysty lunch. Bardzo była zadowolona i żądna dalszych atrakcji, no więc zaproponowała nam wyjście do jakiejś herbaciarni, polecanej przez przewodnik, gdzie serwują specjały miejscowej kuchni przy akompaniamencie muzyki. Byliśmy dosyć zmęczeni, ja marzyłam o ciepłym łóżku, ale była tak pełna entuzjazmu, że nie wypadało odmówić. Jedną z

atrakcji podróżowania jest w końcu wymiana doświadczeń i informacji z bratnimi duszami włóczęgowskimi. Na dworze było lodowato, zawróciłam więc i zabrałam nasze ciepłe dresy. Na szczęście, bo inaczej chyba zamarzlibyśmy na śmierć. Angielka złapała taksówkę i hojnym gestem zgodziła się na pierwszą żadaną cenę. Lokal w ciemnych zaułkach starego miasta okazał się taki sobie. Owszem była orkiestra grająca na tradycyjnych instrumentach, jako akompaniament do recytacji poezji. Muzyka szła niestety przez wzmacniacze i była tak głośna, że nie sposób było rozmawiać, a poezji nie rozumieliśmy w ogóle. Na dodatek nasza platforma była tuż obok wielkich, szeroko otwartych drzwi, na lodowatym przeciągu i wkrótce zaczęliśmy się trząść z zimna. Potrawy na którą Angielka ostrzyła sobie zęby nie mieli, na herbatę czekaliśmy bardzo długo, toteż szybko wróciliśmy z podkulonymi ogonami na późny obiad do hotelu. Resztę wieczoru spędziliśmy na miękkich fotelach w holu, sącząc gorącą herbatę i dyskutując o podróżach, polityce i naszych krajach rodzinnych z Angielką i Szwedem.

Rano idziemy zwiedzać stare miasto. Szwed powiedział nam że to niedaleko... jakieś dwa kilometry od hotelu. Uwierzyliśmy. Szliśmy i szliśmy, aż zupełnie padnięci przysiedliśmy na skwerku obok ruchliwego skrzyżowania, żeby dać odpocząć nogom. Irańczycy cenią i szanują zieleń, w miastach na wszystkich prawie większych skrzyżowaniach są skwery z fontanną, czy sadzawką, trawą, kwietnikami, krzewami i ławeczkami. Wszystkie ozdobione są rzeźbami i wszechobecnymi portretami męczenników-bohaterów rewolucji islamskiej i wojny z Irakiem, malowanymi na murach, albo ułożonymi z glazurowanych kafelek. Zadajemy sobie pytanie czy oni rzeczywiście chcieli takiego kraju jaki teraz mają?

Siedząc na tym skwerku podziwialiśmy jak Persowie szanują wodę. Co za kontrast z Australią, która jest równie pustynna jak Iran, a gdzie megalitrami podlewa się nieprzystosowane do klimatu rośliny i trawę. Tu w parkach wokół każdego pojedynczego drzewa, krzaczka, czy kwiatowej rabatki usypany

jest niski wał z ziemi, utrzymujący wodę wokół podlewanych roślin. Prawie wszystkie ulice obsadzone są drzewami. Wzdłuż chodnika jest głęboki na 50-60cm rów, który oddziela go od jezdni. Na jego dnie, gdzie spływa i gromadzi się cała woda z ulicy, posadzone są drzewa i krzewy. Te rynsztoki, zwane „dżube” są częścią skomplikowanej sieci nawadniającej i co kilkadziesiąt metrów mają przegrody i przepusty, które pozwalają kierować wodę tam gdzie jest potrzebna, albo zatrzymać ją, aby porządnie wsiąkła, dostarczając roślinom niezbędnej wilgoci. Woda tutaj od zawsze była głównym elementem dekoracyjnym tutejszych pałaców, domów, ogrodów i placów. Każdy skrawek zieleni miejskiej ma oczko wodne. Zwykle jest to sadzawka, często o bardzo wyszukanych kształtach i z fontannami. Te ostatnie to strumienie wody tryskające na różne wysokości. Dna basenów są zwykle oświetlone po zmroku zmieniającymi się kolorami światła skierowanymi na tryskającą wodę. Wieczorem takie fontanny sprawiają iście bajkowe wrażenie a zapach otaczających je łąnów przepięknych lewkonii przenosi człowieka w inny świat.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej i po przejściu kolejnych paru kilometrów znaleźliśmy się na wielkim rondzie, obok którego sterczały w niebo minarety meczetu. Weszliśmy na rozległy, kwadratowy dziedziniec i z otwartymi z podziwu ustami oglądaliśmy ogromny liwan z niszą modlitewną w głębi, zwieńczony dwoma wysokimi minaretami, wszystko wyłożone lśniącymi w słońcu, glazurowanymi kafelkami. Stylizowane okna do raju, ogrody pełne fantastycznych roślin i zwierząt, geometryczne arabeski, kaligraficzne wersety z Koranu we wszystkich kolorach tęczy, ułożone z milimetrową precyzją z kilkucentymetrowych, kwadratowych kafli. Sama nisza modlitewną, z seledynowego alabastru, ze sklepieniem soplewym jest zagłębiona pół metra w posadzkę, aby pokazać pokorę wobec Allaha.

Z meczetem sąsiaduje bazar, jeden z najstarszych w Iranie, labirynt pasaży, uliczek i zaułków, pełen kramów, sklepów i

warsztatów rękodzielniczych. W samym środku jest spory dziedziniec, wysadzany krzewami, z kilkoma sadzawkami z wodą, który chyba nie zmienił się ani trochę przez ostatnie 200 lat. Przy nim parę łaźni. Jedna z nich została zamieniona w muzeum. W idealnie zachowanym wnętrzu, umieszczono manekiny w tradycyjnych strojach, by pokazać zajęcia, przedmioty i rozrywki klientów w dawnych czasach. Pod centralną kopułą znajdował się główny basen z ciepłą wodą. Wokół były nisze, z mniejszymi basenami, każda przeznaczona dla innego cechu rzemieślniczego, lub gildii i urządzona i udekorowana zgodnie z rangą i zamożnością użytkowników. Wszystko wyłożone przepięknymi marmurami i alabastrami. W drugiej urządzono stylową herbaciarnię.

Weszliśmy tam, by odpocząć i napić się herbaty. Zaraz dosiadł się jakiś miejscowy młodzian i nawiązał z nami rozmowę, zaczynając od sakramentalnego:

– Skąd jesteście?

Powiedział, że jest przewodnikiem i, jak prawie wszyscy młodzi ludzie z którymi mieliśmy okazję rozmawiać, marzy o ucieczce z Iranu na Zachód.

– Tutaj nie ma ani pracy, ani wolności ani przyszłości, a jedyne wyjście to ucieczka, emigracja – przekonuje nas. Mówi, że szuka cudzoziemki z którą mógłby się ożenić, żeby zdobyć obywatelstwo obcego kraju. – Znam starszą kobietę z Warszawy, ale nie jestem pewien czy za mnie wyjdzie... – dodaje z żalem.

Próbujemy sprowadzić go na ziemię i mówimy o ujemnych stronach i niebezpieczeństwach życia na obczyźnie, których chyba nigdy nie brał pod uwagę, bo dziwi się że wogóle istnieją. Niestety tym młodym ludziom wyjazd na Zachód kojarzy się tylko z brakiem krępujących swobodę nakazów religijnych i obyczajowych i z dobrobytem materialnym. Wyobrażają sobie, że wystarczy wyjechać z Iranu, by osiągnąć sukces i bogactwo.

Do hotelu postanawiamy wrócić autobusem miejskim, aby

spróbować i tego środka lokomocji. Wszystkie autobusy jeżdżą wzdłuż głównej ulicy – osi miasta – którą przyszliśmy, a więc trudno będzie się zgubić. Przystanki przedzielone są żelazną barierą na dwie części, jedną dla mężczyzn, drugą dla kobiet. Na każdym jest mały kiosk sprzedający bilety, które dla nas kosztują absolutne grosze – parę centów. Wszyscy sprzedawcy to inwalidzi. Bilet oddaje się kierowcy, przy wsiadaniu, lub wysiadaniu. W hotelu przestrzegano nas przed wsiadaniem do pełnych autobusów, bo grasują w nich kieszonkowcy, przepuściliśmy więc pierwszy, drugi wydawał się luźniejszy. Wsiadliśmy, każde osobnym wejściem, jako że przednia część autobusu przeznaczona jest wyłącznie dla mężczyzn, a odgradzona żelazną barierą tylna dla kobiet. Miejscowi przyglądali się nam z zaskoczeniem i ciekawością, gdyż turyści na ogół autobusami miejskimi nie jeżdżą. Bez przygód dojechaliśmy do placu w pobliżu hotelu, a w pokoju padliśmy na łóżka, żeby dać odpocząć obolałym od łażenia nogom.

Nawet jeśli to zabrzmiało absurdalnie, zaczynam lubić ten ich strój!! Pewnie, że gorący jak diabli i wściekam się, że nie mogę wyściubić nosa z pokoju bez pełnego uniformu, ale z drugiej strony w tego typu podróży to jest też ogromna wygoda. Codziennie jestem przyzwoicie ubrana, bez żadnych kompleksów wobec innych kobiet. Co ważniejsze nie brudzę żadnych innych rzeczy, które musiałabym prać w umywalkach, albo dawać do pralni. Z suszeniem też są zawsze duże kłopoty, a o żelazku nie ma nawet co marzyć. Noszę więc ten mój płaszcz na gołą skórę i mam święty spokój. Wyprałam go dzisiaj, powiesiłam na wieszaku nad wanną, szybko obciekł z wody i znów jest gotowy do użycia. Mycie i układanie włosów też mam w zasadzie z głowy. Niestety, to co dla mnie jest wygodą, dla miejscowych kobiet jest przekleństwem. Zmienia je w bezosobowe, czarne cienie, których ręce bez przerwy pracują przy „czadorze”. Nam jest ciężko nawet zrozumieć jak one to robią, że w tłumie, na przystanku, przy wchodzeniu do autobusu nie poprzewracają się, nadeptując sobie wzajemnie na te sięgające ziemi szaty. Nie bardzo też jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jak one mogą

przeżyć lato, kiedy na południu i wschodzie Iranu temperatury sięgają ponad 40o. Co gorsza, oficjalny wiek w którym uznaje się dziewczynkę za dojrzałą kobietę wynosi dziewięć lat. Od tego momentu obowiązuje religijny strój. Widzieliśmy te nieszczęsne dzieciaki mocujące się z ciągle spadającą do tyłu czarna płachtą i zadawaliśmy sobie pytanie, czy ten tutejszy świat zatracił sens i zdrowy rozsadek... Paradoks na paradoksie i absurdem pogania, bo w niektórych dziedzinach kobiety tutaj mają pełne równouprawnienie, uczą się, studiują, pracują, prowadzą biznesy. Z drugiej jednak strony mężczyźni zachowują decydujący głos w religii, sądownictwie i polityce, a czador i status kobiet używane są przez mułłów jako symbole Islamu i wierności ideom rewolucji. Kobietom nie wolno tańczyć ani śpiewać publicznie, a nagrania z piosenkami wykonywanymi przez kobiety są zakazane. Nasi przygodni kierowcy jeśli nawet umilali nam podróż babską muzyką, zaznaczali, że jest ona importowana nielegalnie z Turcji. Dziś rano natrafiliśmy w telewizji na jakąś poranną gimnastykę. Sześciu facetów ćwiczyło coś w rodzaju aerobiku, a kilkanaście metrów za nimi robiąc dokładnie to samo, jedna samotna kobieta w czarnych szatach do ziemi, jakże krępujących jej ruchy. Jak na ironię w Shiraz widzieliśmy wiele haseł w stylu że „kobieta to piękny, wiosenny kwiat, który trzeba ochraniać”. No i ochraniają usilnie i na każdym kroku.

Jutro wyjeżdżamy do Yazd, miasta oddalonego od Kerman o około sześć godzin jazdy autobusem przez pustynię. Rano spakowaliśmy walizki, a ponieważ wciąż mamy trochę czasu, bo wyjeżdżamy o dwunastej w południe, postanawiamy zaliczyć jeszcze fabrykę dywanów. Wzięliśmy taksówkę, która zawiozła nas gdzieś poza miasto. W pół dziko wyglądającym i zupełnie pustym ogrodzie stało parę rozwalających się budynków. Nie wyglądało to zachęcająco, ale skoro już byliśmy na miejscu postanowiliśmy tam zajrzeć. Okazało się że dobrze trafiliśmy. W biurze dostaliśmy przewodnika znającego tylko kilka słów po angielsku, ale na migi i z pomocą perskich rozmówek mogliśmy zrozumieć co nam tłumaczył. W wielkiej sali na ogromnych



ramach od podłogi do sufitu rozpięte były osnowy przy których siedziały kobiety i z zadziwiającą wprost szybkością wiązały różnokolorowe węzełki. Każda miała kartkę z kolorowym wzorem, który musiała wykonać. Zachodziliśmy w głowę jak one sobie z tym radzą, bo wzorki są równie misterne i kolorowe jak na ścianach meczetów, a na pierwszy rzut oka wychodziła im skudłacona, mechata mieszanina kolorów bez ładu i składu. Wzór widać dopiero po ostrzyżeniu gotowego dywanu.

## **Koniec części szóstej**

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)